



Kwiat Nędzy

POWIEŚĆ

TOM II.

27

(Ciąg dalszy).

Piotr nie czekał długo na gospodarza domu. Po chwili poruszyła się wschodnia kotara nad przeciwnymi drzwiami, a pod nią ukazał się człowiek średniego wzrostu, o twarzy pełnej dobrotnego wyrazu. Uściśnął życzliwie rękę przybyłemu i rzekł:

— Mam dla ciebie, mój drogi, dobrą wiadomość. Ni mniej, ni więcej, tylko będziesz musiał przyozdobić malowidłami na drzewie całą jedną olbrzymią komnatę, w starożytnym pałacu... a raczej zamku, należącym do rodziny, noszącej historyczne nazwisko.

Piotr aż zbladł z radości.

— No, no, mój chłopcze!... gdy szczęście wraz z pracą przychodzi, należy je witać spokojnie, bez zbyt wielkiego wzruszenia. Obstalunek zawdzięczasz księdzu Wielogrodzkiemu, który lubi protegować ludzi młodych, a utalentowanych. Wczoraj zapytał mnie, czy nie znam przypadkiem jakiego artysty z przyszłością, chciałby mu bowiem powierzyć udekorowanie sali rycerskiej w dworcu Zahajeckim.

— A pan mnie wymieniał! — zawołał młodzieniec, przejęty wdzięcznością.

— Rzecz naturalna! Przecież zrobiłem z ciebie artystę, moim zatem jest obowiązkiem czuwać nad tobą do chwili, w której zdobędziesz sławę i o własnych siłach będziesz mógł iść dalej. Czekaj! czekaj!... nie dziękuj! Przedewszystkiem wysłuchaj moich informacji. Za kilka dni pojedziesz koleją żelazną do Lublina. Staniiesz w hotelu Angielskim, gdzie czekać na ciebie będą konie i bryczka z Zahajec. Gdy przybędziesz na miejsce, przedstawisz się księdzu Wielogrodzkiemu, on zaś przedstawi cię swojej siostrze, księżnej... Przyjęty zostaniesz uprzejmie i życzliwie... Ale, ale, na wyruszenie z Warszawy, zaopatrzenie w przybory do malowania, przystrojenie się i podróż, potrzebujesz trochę pieniędzy, masz tu, mój drogi, sto rubli... Sądzę, że tyle wystarczy...

— Ach, jakże zdołam wywdziękzyć się panu? — zawołał Piotr, wzruszony do głębi.

— Pozostając uczciwym człowiekiem i rozwijając pracę wrodzony ci talent. To jedyne wywdziękzenie, o jakie proszę, za skromną pomoc, jaką wyświadczam ci z prawdziwą przyjemnością. Pożegnali się serdecznie.

Piotr wyszedł uszczęśliwiony na ulicę, a Filip Glenmour pozostał sam w obszernej komnacie i zaczął się po niej przechadzać szerokimi krokami. Po chwili usiadł przy biurku, zasłonił twarz rękami i pogrążył się w smutnem zamysleniu.

Osiem lat temu przybył do Warszawy nikomu nieznany. Nabył plac przy ulicy Marszałkowskiej i wznosił na nim piękny dwupiętrowy dom — niemal pałac. Urządziwszy i umeblowawszy wnętrze wytwornie i wygodnie, zamieszkał w własnej kamienicy, wraz z służbą, przywiezioną z Ameryki. Chociaż nikt o nim nic pewnego nie wiedział, opowiadano sobie w mieście, że posiada miliony. W istocie musiał być bardzo bogaty. Pracował czas jakiś w kopalniach dyamentów w Transwaalu, skąd przeniósł się do Chicago, gdzie wkrótce potem stanął na czele wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i poważnego domu bankowego, obracając olbrzymimi kapitałami. Tam podobno potroił,

już z południowej Afryki wywiezioną, znaczną fortunę. Liczył wieki — jak sądzić można było z pozorów — od lat pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu. Krótko ostrzyżone włosy siwiały mu już nad skroniami. Oczy bystre i świeące, chociaż pełne łagodnego wyrazu, oświecały twarz jego ciemną, opaloną w gorących klimatach i pooraną głębokimi zmarszczkami.

Nie ulegało wątpliwości, że ciężko niegdyś pracować musiał, bo takiego majątku, jaki posiadał, nie zbiera się próżnując. Już w bardzo młodym wieku, przybywszy do Afryki, zaprzął się, jak murzyn-wyrobnik do najmoźniejszej roboty, jaką jest wydobywanie z piaszczystych, przyrzecznych gruntów dyamentów. Następnie kopał złoto w oddalonych zakątkach dzikiego wówczas kraju, narażony nieustannie na groźne niebezpieczeństwa, mogące łatwo pozbawić go życia i mienia. Czynność jego i wytrwałość uwieńczyły pomyślne rezultaty. Wzbogacił się w względnie krótkim czasie. A jednak pozyskane i ubezpieczone skarby nie uczyniły go szczęśliwym, nie ukoilił zmartwień, szarpających mu łono.

Bardzo często zamykał się w czterech ścianach i gorzkie zalewał się łzami. Niegdyś nie był sam na świecie; miał siostrę, którą kochał bardzo... lecz ona, zdeptała bezwstydnie honor własny i rodziny, znanej z prawości; dała się uwieść i została matką. Szlachecka duma wzięła w duszy jego przewagę nad braterską miłością. Zdawało mu się, że błąd siostry okrywa go także hańbą, więc postanowił nie przebaczyć jej nigdy; starał się zapomnieć o istocie, miłowanej niegdyś gorąco.

Po wieloletniej pracy zmogło go nareszcie znużenie i oświadczył nim pewien rodzaj wstępu do gromadzonego bez celu bogactwa — do tego złota, za którym gonił tak długo i zapamiętał. Powziął zamiar powrócenia do ojczystego kraju, pod nazwiskiem, które przybrał w Ameryce. Nie zdając sobie może nawet jasno sprawy z uczuć, jakie nim poruszały, wyruszył z Chicago z myślą odszukania siostry i zajęcia się losem jej dziecięcia, potrzebował bowiem do kogoś się przywiązać. Dzięki rozległej i nieustannej korespondencji, jaką prowadził z Europą, jeszcze za oceanem dowiedział się o nazwisku uwodziciela. Był nim hr. Jelski... siostrą zaś jego, Janina Żarska, matka doktora Żarskiego, babka Zosi i Sabinki.

Pojawił się na bruku warszawskim w parę miesięcy po zgonie hrabiego, w kilka zaś dni po wyroku, skazującym Marcina za morderstwo na Sybir. Nie znając ani jego przeszłości, ani męczeńskiego żywota siostry, sądząc o całej sprawie z tego, co słyszał i czytał w dziennikach, przedstawiał sobie Janinę tylko jako matkę zbrodniarza, kobietę nikczemną, zasługującą na pogardę, do pokrewieństwa z którą przynależał się nie można. I znowu duma wzięła górę nad sercem. Postanowił wyrzec się raz na zawsze swego rodzowego nazwiska i pozostać dla całego miasta, a nawet dla najbliższego otoczenia, Filipem Glenmourem, obywatelem Stanów zjednoczonych północnej Ameryki, goszczącym chwilowo za amerykańskim paszportem w Polsce przez ciekawość, w celu poznania bliżej narodu, który wydał jednego z bojowników, walczących za niepodległość jego ojczyzny u boku Waszyngtona. Utrzymał, że ze względu na cześć dla Kościuszki, nauczył się od jednego z naszych

emigrantów polskiego języka, że władza nim wcale poprawnie, chociaż wymowa jego grzeszy obcym akcentem.

Chociaż całą siłą woli zmuszał się do zapomnienia, czuł, że nie może zapomnieć o Janinie. Noce całe spędzał bezsenne. Cierpiał strasznie, myśląc, że siostra żyje w niedostatku, że jest opuszczoną od Boga i ludzi, że sama jedna czuwa nad wnuczkami, pozbawionymi środków utrzymania i rodzicielskiej opieki. Wyrzuty sumienia nie dawały mu chwili spokoju. Zadawał sobie nieustannie pytanie: żali istotnie nie był zbyt surowym i czy nie sprzeniewierzył się obowiązкови, jaki los mu wyznaczył.

Ksiądz Wielogrodzki, widujący się z Filipem niemal codziennie, łamał sobie nieraz głowę dla czegoś człowieka bogatego i niewysłowienie dobrego, miłosiernego dla wszystkich biednych, a którego on traktował jak przyjaciela, pokrywa się niezmiernie często czarnymi chmurami smutku.

Glenmour, bardzo często zapraszany był przez księżną na obiady, a przy stole, Zosia siedziała zwykle przy nim, albo naprzeciw niego. Imię i nazwisko — Zofia Żarska — pod jakimi ją wielka pani przedstawiła Filipowi, zastanowiły go w pierwszej chwili, lecz zająca matrona, nie chcąc pod żadnym pozorem zdradzić tajemnicy, rzucającej cień na pochodzenie dziewczęcia, mówiła z nim o jej rodzinie, jak o dobrze sobie znanej i oddawna osiedlonej w lubelskiem. Szlachetna kobieta, która nigdy ust swoich nie skalała kłamstwem, tym razem nie wahała się kłamać, byle tylko ochronić reputację ukochanej pupilki od wszelkich podejrzeń. Ciekawość Filipa, momentalnie silnie podrażniona, uspokoiła się rychło. Pewny był, że nic wspólnego nie łączy go z Zosią. Zresztą myślał w duchu: „Żarskich w Polsce, należących do kilku niespokrewnionych z sobą familij, jest przynajmniej tylu, ilu Zaleskich, a jak wiadomo z Zaleskich możnaby utworzyć pułk cały!“

Warszawa pustoszała coraz bardziej. Cały świat arystokratyczny wyruszył już lub wyruszał na wieś, do zdrojowisk zagranicznych i nad morze. Księżna Amelia Sińska jedyna może, nie opuszczała jeszcze miasta, chociaż wszystko w pałacu przygotowane było do jej wyjazdu. Zajęta wraz z Zosią szyciem koszulek, kaftaników, spódniczek i czepczków dla dzieci wiejskich w Zahajcach, spędzała dnie całe w niewielkim, lecz gęsto zakrzewionym ogródku przy ulicy Smolnej, w którym sobie i swej wychowance kazała nawet podawać śniadanie, a niekiedy i obiad.

Często gęsto i Jerzy, wstający znacznie później od ciotki, przychodził tu, aby pod zielonem sklepieniem altanki z dzikiego wina, kaprifolium i powoi, wypalić papierosa. Teraz właśnie, markotny, bo niewyspany po nocnej zabawie, kołysze się na fotelu biegunowym, popijając kawę z pięknej, starej, chińskiej filiżanki.

— Nareszcie, za dwa dni wyjeżdżamy — rzekła księżna. Cieszymy się obie z Zosią niewymownie. A ty, mój drogi, czy nie mógłbyś wybrać się z nami, albo w parę dni po nas przyjechać?... W Zahajcach odpocząłbyś sobie, bo widzę, że jesteś bardzo zmęczony wesołym życiem warszawskim. No, bawisz się wprawdzie niekiedy, lecz częściej sypiesz znudzony pieniędzmi na prawo